

Lieber Rainer

Brigitta Helbig

Zanim Rainer desperacko i tym razem już nieodwracalnie zdecydował się na to, aby odejść, żył z Utą całe trzynaście lat. Urodziło im się dwoje dzieci. Drugie dziecko Uta powiła już po upadku muru berlińskiego. Pozytywnym efektem ubocznym bezprawnego rozbioru NRD był fakt, iż Uta mogła teraz rodzić w domu. Uta kochała niezależność i samostanowienie. Nie chciała po raz wtóry oddać się w ręce funkcjonariuszy medycyny. Wierzyła w mądrość swego ciała. Rainer zaś miał podziwiać, czcić i wielbić spektakl porodu Uty, oddać pokłon wielkiej potędze jej kobiecej fizjologii. *Przyznam, że jestem stronnica, bardzo trudno mi oddać Ucie sprawiedliwość, ratuję się łatwą ironią, mówię pozornie zależną, uciekam się do szyderstwa, bezskutecznie szukam klucza, który pozwoliłby mi zrozumieć znieawidzoną kobietę.* Miał zachowywać się przy tym odrobinę nieporadnie i Uta miała na niego krzyczeć, żeby głaskał tu, a nie tam, współczuł tak, a nie inaczej, nie stał tak bezsensownie w kącie, nie miał takiej przestraszonej miny. Potem komendę miała objąć Anke, znajoma położna Uty. Po porodzie Uta miała podśmiechiwać się pobłażliwie: "Dobrze że nie zemdlałeś, mój malutki".

Ale Rainer zachował się inaczej. Rainer stanął na wysokości zadania. Była to ostatnia rzecz, której Uta się po nim spodziewała. "Byłaś taka bezbronna i słaba, dlatego poczułem się silny" - wyznał jej w przypiływie szczerości po wielu, wielu latach podczas jednej z niekończących się nocnych sesji na wysokim łóżku z Ikei. Z czułością pogładził jej policzek. W tym momencie Uta stała się świnia. To znaczy po prostu się wściekła. Na taką głupią, bezprawną odpowiedź! "Silny! - prychnęła złowieszczo i odepchnęła z impetem jego małą, nieco kwadratową dłoń. - Żeby być silnym potrzebujesz mej słabości, ty zwiędły gnacie! A kto zasnął o trzeciej nad ranem, jak tylko było już po wszystkim i Anke poszła do domu? Kto zasnął, zamiast siedzieć przy mnie, patrzeć mi w oczy i cieszyć się naszym szczęściem?"

Zasnął oczywiście Rainer. A silnym czuł się Rainer jeszcze wtedy, gdy tłumaczył niecierplivej i niepojętnej ponoć w tej dziedzinie Ucie, jak pisać na komputerze. Wściekał się, puszył, panoszył, a ona musiała to znosić, bez jego bowiem pomocy nie oddałaby pracy dyplomowej o seksualnym molestowaniu dzieci. On by takiej pracy nie wymyślił, ona nie napisałaby jej na komputerze. Byli więc w tej kwestii

kwita. Rainer kochał swoje słodkie zemsty, zemsty małego, drobiazgowego, zakompleksionego chłopca z Elsterwerdy.

Rainer odszedł do polskiej Putzi - pucołowatej, eleganckiej i zadbanej pani od pucowania. Znalazł kiedyś jej złoty kolczyk w biurze. Leżał na podłodze, błyszczał, lśnił, i Rainer uznał, że to omen. Dwa dni potem z filuternym uśmiechem wręczył damie zgubę, i tak się wszystko zaczęło. Bo te Polki faktycznie coś w sobie mają. Jakiś niebywały, naszym kobietom zupełnie nieznaną wdzięk - rozważał potem skrycie. Dziewczęćość i macierzyńskość z seksowną drapieżnością idzie w parze. Pod niewinności maską nieźle szelmstwo i wyrefinowanie się ukrywa... Rainer nie był przecież tak naiwny, by tego nie dostrzec. Podobno lubią luksus, domy, papierosy, samochody - to drobny mankament. Z drugiej jednakowoż strony potrzebują męskiej osłony. Nasze zaś są tak bardzo dzielne... Rainer czasem już nie bardzo wiedział, czym im zaimponować. Zresztą przy Ucie stracił resztę wiary w swą duchową i fizyczną potencję...

Kiedy Rainer odszedł na zawsze, Uta była bliska obłędu. Omotana wielką kolorową chustą wpadła do alternatywnej poczekalni swej znajomej psychoterapeutki Heike i rzuciła się na wiklinową sofę. "Przez trzynaście lat wspólnego życia próbowałam obudzić Rainera - bez skutku. I bez sensu." Zdania te Uta zaplanowała wypowiedzieć po wejściu do pokoju przyjęć. Tymczasem jednak nerwowym ruchem naląła sobie czerwonej herbaty z czajniczka do jednej z kamionkowych filiżanek, zaaranżowanych na niskim stoliku. Trochę krwistej cieczy z dzikiej róży wylało jej się na stół i utworzyło koślawy strumyczek na serwecie. Wbrew spokojowi, którym emanowała poczekalnia, wbrew monotonnemu szumowi wody opadającej z miniaturowego wodospadu, wbrew łagodnej muzyce, sączącej się subtelnie z głośników, wielka gotowała się w Ucie złość. Kiedy znowu osunęła się na sofę obok histerycznie szurającej nogami, chudej jak szczapa współpacjentki, ta nagle wbiła w nią pytanie: "Też chaos w życiu?". Chaos. A Rainer tak bardzo nie lubił chaosu. Rainera przerażały stosy książek, papierów, kredek, nici oraz skrawków materiału zalegające na wszystkich stołach, biurkach, półkach, krzesłach, podłogach i fotelach, jakie tylko w domu posiadali. Nie miał w tej chacie kąta dla siebie. Uta z jej ogromem zainteresowań, z jej wszechogarniającą twórczą energią okupowała całą przestronną chałupę w starym budownictwie na ponurym Prenzlauer Bergu. Dlatego tak chętnie siedział w ubikacji na klatce schodowej i tam urządził sobie małą, ale własną biblioteczkę dotyczącą badań nad przodkami. Zasadził tam sobie drzewa.

”Jasne” - odpaliła współpacjentce Uta. *Na klar*. Była to ulubiona replika Uty. Uratowała ją już z wielu dwuznacznych, wstydliwych sytuacji. Na przykład, kiedy jej synek spytał głośno w przepelnionym U-Bahnie, czy to ona puściła bąka, Uta ze stoickim spokojem odparowała: ”Na klar”. Każda inna odpowiedź sprowokowałaby malca do postawienia dalej idących, jeszcze bardziej kompromitujących pytań. *Na klar* było Uty zaklęciem. Zamykało gęby. Wstrzymywało cudze klapy.

Uta musiała tu się w końcu wybrać, gdyż po odejściu Rainera znacznie pogorszył się stan jej wrażliwej, bladej, stroniącej od słońca skóry. Bez przerwy drapała się po ramionach, udach, po piersiach, po całym lekko piegowatym ciele. Jej skóra cała w ogniu stała. Łuszczyła się, swędziała, a drapana, niemiłosiernie odstaniała mięso. Uta nie wierzyła co prawda w szatana, ale podczas ataków swędzenia krzyczała jak opętana: ”Do diabła, chyba w piekle byłoby mi lepiej!”

Po definitywnym odejściu Rainera, po jego spektakularnym zejściu ze schodów, Ucie nagle zabrakło słów. Uta oniemiała. Daremnie próbowała wykrzesać z siebie jakąś skargę, jakiś jęk. Po raz pierwszy w życiu czuła się całkiem bezwładna - pusta do szpiku kości. Była bez władzy, bez mocy. Ból dławił jej wypalone wieloletnią gadaniną gardło, drażył w niej wielką, bezdenną dziurę, a Uta nie była nawet w stanie westchnąć bezmyślnie ”o Boże”. Bóg nieodmiennie kojarzył jej się z zacofaniem, z ciemnotą, ze średniowieczem. Uta była mądra, wykształcona, nie w ciemną bita. Nie wyskoczyła sroce spod ogona. Swego czasu uczęszczała do jednej z najbardziej elitarnych szkół Berlina Wschodniego, do gimnazjum o profilu matematyczno-fizycznym. W świecie Uty, jej rodziny i przyjaciół, nie istniał skompromitowany, chrześcijański Bóg. Nie miał nic wspólnego z postępem, ze zdrowym rozsądkiem, a przede wszystkim z suwerennością człowieka. A właśnie wszelkiego zniewolenia Uta nienawidziła najbardziej. Na swoich wewnętrznych sztandarach wypisała rebelię i bunt. Pogardzała pokorą, poświęceniem, wszelkim podporządkowaniem.

Wierzyła, że mimo wszystko jakoś będzie. Poczyta sobie jeszcze o tajemnej wiedzy mądrych, dojrzałych kobiet z jej ulubionego szczepu Dakota. Nastawi muzykę, będzie wdychać paloną tabakę. A niedługo wyjedzie znowu na indiański workshop. Albo wybierze się na zlot czarownic. Jakoś sobie życie ułoży, jakoś sobie w końcu poradzi. A może popędzi w nocy do ciemnego Mauerparku i tam, słuchając ponurego dudnienia bębnów, skutecznianego przez bezmyślnych Wessis, zaśnie już na zawsze...

Rainer już od dawna drażnił Utę. Prowokował do wrzasku bez opamiętania i jeszcze twierdził, że to jej problem, jeśli tak się drze. Nie pojmował najprostszych zasad psychologii, całkowitym był tu ignorantem. Doprowadzał ją do obłędu. Swoim bezczelnym spokojem jakby na pokaz i na złość, swoim uporem, robieniem na przekór, dziecinnym okazywaniem skruchy bez najmniejszej chęci poprawy, swoim potulnym przyznawaniem się do winy, że owszem, pewnie jest arszloch, ale nic za to nie może, swoim milczącym stanem ze spuszczoną głową jak karcony uczeń w podstawówce, nie odpowiadaniem na natarczywe jej pytania, bezradnym wzruszaniem ramionami i ronieniem gorzkich łez, bezsensownym zasypianiem w najważniejszych momentach życia, swoim brakiem wyczucia, zdolności wczucia się, swoim lękiem przed głęboką intymnością, oddalaniem się w chwilach oddania, psuciem wszystkich najpiękniejszych chwil, swoim respektem przed dyrygującymi nim rodzicami, swoją wielką dziurą w miejscu, gdzie miało zrodzić się dożgonne przywiązanie, miała powstać nierozzerwalna z nią wspólnota tudzież więź. *Paniczny strach przed prawdziwą bliskością. Nieodpowiedzialność. Brak inteligencji emocjonalnej. Chorobliwa zależność od rodziców. Ciężkie dzieciństwo*, za które Uta nie będzie pokutować. Takie diagnozy postawiła Uta Rainerowi. Bo psychologia była, obok Indian, wielką namiętnością Uty. Chciała więc pomóc Rainerowi rozwinąć się wewnątrz. A on się nie dawał za cholere.

Za czasów NRD Uta nie dostała się na psychologię. Egzaminatorzy wyczuwali jej opór wobec wszelkich reżimów, subwersywną moc jej jakże rogatej duszy. Tak przedstawiała to przynajmniej Rainerowi. Potem zawalił się mur i Uta zaczęła studiować na zachodzie. Zachód bezprawnie rozpieprzył Ucie świadectwo maturalne, wszystkie oceny poobniżał o cały stopień w dół. "To nie jest moje państwo" - rezonowała na imprezach Uta. - To nie jest mój kraj. Nigdy nie pójdę tutaj na wybory. To jest mój okupant". Tak samo jak Rainer, jak wszyscy na Prenzlauer Bergu, nie akceptowała wchłonięcia swego kraju przez Republikę Federalną, nie tolerowała zakłamanej demokracji zachodniej, gardziła nic nie mówiącym, powierzchownym uśmiechem Wessis, aż do bólu tęskniła za światem, który runął, chociaż i w nim, jak twierdzi, nonkonformistyczną odgrywała rolę. Lecz NRD to był JEJ świat - gdy się urodziła, on już stał, a ten nowy był obcy, narzucony. W NRD Uta mogła i chciała coś zmienić. W NRD istniały jeszcze jakieś ideały... Po przełomie Uta jęła upajać się z Rainerem koncertami niezapomnianego *Gundi* z Hoyerswerdy. On tak przejmująco podtrzymywał ich zagrożoną pierzchnięciem tożsamość, opozycyjną wobec braci z

Zachodu. *Dlatego, bracie, będzie wojna* - śpiewał Gundi, a Uta wtulała się w ramię Rainera. Jakże w takich chwilach się kochali...

Po ukończeniu psychologii i odpaleniu imprezy dyplomowej Uta zdradziła Rainerowi, iż pragnie mieć trzecie dziecko i znów urodzić je w domu, nie wśród tej lekarskiej chołoty, takiej jak szwagierka Sabine, co to rodzących ludzi urzeczawia. (Uta nienawidziła Sabine, tak jak nienawidziła swej teściowej, grzecznej, cichej, przywiązanej do konwenansów Edeltraud. Frędzle dywaników w pokoju stołowym Edeltraud czesane były co najmniej dwa razy dziennie. Poduszki na jej wypoczynku zachęcały do relaksu równiutkim przedziałkiem w środku, wbitym energicznie kantem dłoni. Uta takiego drobnomieszczaństwa po prostu nie znosiła.) Uświadomiła więc Rainera, że planuje mieć trzecie dziecko, ale chyba jednak nie z nim, bo przy porodach poprzednich nie zdał egzaminu. Zwykł był zapadać w drzemkę w najbardziej istotnych momentach. Poza tym zawsze oddalał się, gdy ona się zbliżała. W kotka i myszkę się z nią bawił. W czaplę i żurawia. Uta znajdzie więc innego ojca. W najgorszym razie wychowa dzidzię sama.

A jednak Uta nie liczyła się z tym, że Rainer odejdzie naprawdę, że Rainer już tego nie wytrzyma. Mówiła te wszystkie straszne rzeczy, aby, może podświadomie, sprowokować go do sprostowań, do zdementowania jej zarzutów oraz zmiany postępowania. Ale Rainer tego nie załapał... Kiedy odszedł, myślała, że powróci. Lecz Rainer tym razem nie wracał, jak za pierwszym razem. Nie przyszedł, skruszony, jak wtedy, i nie wyznał, nie mogąc znieść ciężaru winy, albo zemsty pragnąc zakosztować: "Wiesz, przespałem się dziś z inną. Co ja mam teraz zrobić?" W związku z tym Uta nie mogła wypierdolić go z chałupy i ryknąć za nim na całą klatkę, prosto w inteligentne i ocytane, bądź zapite i zapyziałe gęby wspinających się po schodach sąsiadów: "Po co ty mi to mówisz? Na co ty właściwie liczysz? Jak wsadzasz kutasa gdzie nie trzeba, to musisz liczyć się z konsekwencjami. Pakuj manatki i spieprzaj, ty dupku zasrany, ty świnió!" Uta lubiła mówić wszystko prosto z mostu, przede wszystkim publicznie. Nie bała się brzydkich słów. Waliła prawdę w oczy. Bez ogródek. I koniecznie na cały głos.

Mieli przestronne, nie wyremontowane mieszkanie na Prenzlauer Bergu, w samym sercu dzielnicy niepokornych enerdowskich intelektualistów. Na balkon raczej nie wychodzili, bo kilka balkonów w tej części Berlina ostatnio się zawaliło, i ludzie ponieśli śmierć. Dzielnica była posępna, lecz bardzo ożywiona intelektualnie. Rainer i Uta również prowadzili życie ożywione. Dużo gotowali. To znaczy Uta gotowała, a

Rainer zmywał naczynia. Był tylko asystentem, jak większość facetów, zdaniem Uty, w najlepszym razie *ochoczym asytem*, nigdy zaś nie brał na siebie *odpowiedzialności* za funkcjonowanie domu i rodziny. Dużo dyskutowali. To znaczy Uta dyskutowała, a Rainer w najlepszym razie słuchał jak dzik grzmotu, w najgorszym zaś zasypiał, i Uta gorączkowo szarpała go za kołnierz.

Rainer wystartował z nie najlepszej pozycji w tym związku. Pochodził z prowincjonalnego Elsterwerdy, w młodości co tydzień jeździł motorowerkiem do dyskoteki, zaglądał dziewczynom pod spódnicę, podczas tańców wolnych zbierał się na odwagę i ocierał się o ich policzki, gładził gładko zaczesane włosy blond, wsuwał dłoń pod elastyczne bluzki i dotykał ciepłych, pachnących wanilią piersi. Utrzymuje, iż dziewczyny tylko na to czekały - nie było platonicznego patrzenia sobie w oczy, spacerowania w blasku księżyca. Smok-latawiec, o którym śpiewał jego zespół, przeżył mu się w spodniach coraz dziczej. W soboty jeździł więc mały Rainer motorowerem do dyskoteki, podczas gdy Mutti głaskała frędzelki dywaników, a Vati czytał na kanapie "FuWo" i "Sportecho". W piątki Rainer chodził do kina, w niedzielę rano grywał w nogę, o dwunastej spożywał kluski i sznycle, o piętnastej delektował się ciastem z owocami. Na motorower musiał uskładać sobie sam, nie dostał go, jak koledzy, w prezencie na Jugendweihe.

A jak namiętnie Rainer słuchał rocka, zdobywał bilety na koncerty, marzył o płytach z Zachodu... Nienagannie technicznym pismem, miniaturowymi literkami przęającymi się w liniach jak ołowiane żołnierzyki, nanosił do porządku oprawionych zeszytów tytuły i wykonawców nagranych przez się przebojów. Dziewczyny z Elsterwerda były słodkie, ale trochę nudne. Wiadomo było, że chcą wyjść za męża, wiadomo było, jak chcą potem żyć. Rainer obawiał się o swoją wolność. Rainer miał ambicje. Chciał być prawdziwym mężczyzną, facetem całą gębą, nie dać się usidlić przeciętnej gosposi, osiąść przy niej w dresie, jak wszyscy, i popijać piwo w wystrzyżonym ogródku przy grillu.

Zebrał więc całą swoją odwagę i desperacko wyrwał do Berlina. Ostatni raz był tu jako pionier - na uroczystym wręczeniu najdzielniejszym z całego kraju czerwonych jak chorągwie chust. W roku 1973, w budynku Rady Państwa, w którym dzisiaj, o ironio dziejów, urzęduje Gerhard Schröder, Erich Honecker osobiście poklepał go po plecach... Rainer przybył więc na studia do Berlina. Po banalnej dziewczynie z Elsterwerda zostały mu listy, do dziś chronologicznie wielbione w segregatorze. Każdy z nich zaczynał się słowami *Lieber Rainer*.

W Berlinie Rainera zagarnęła Uta. Porwała go z tańców folklorystycznych, zanim się obejrzał. "Takie małe przymilne cielątko - pomyślała -, da się prowadzić na postronku, a zarazem ogrzeje mnie swym ciepłem". Bo Uta, mimo swych krwistoczerwonych włosów, w środku wymarzała była, i bardzo, bardzo łaknęła serca i miłości. Rainer był, jak na mężczyznę, mały i drobniutki, poruszał się zwinnie i szybko, miał żywe i ciekawe światła, zielonkawe oczy, zgrabny, obrotny tyłeczek, masywne, budzące zaufanie ramiona, niewielkie, lecz mocne dłonie... "Jaki słodki, takie małe cacko - pomyślała Uta. - Ten chłopiec mnie ukoji. Jest wewnętrznie uporządkowany, nieskomplikowany. Pewnie można na nim polegać, można mu zaufać. Jest może nieco przyziemny, ale za to kochający i stały - do końca życia będzie mi wdzięczny, że odkryłam przed nim świat. Może doceni moje talenty. Może mnie skóra piec przestanie. Może się przy nim ustabilizuję..."

Uta miała już własne mieszkanie. Nienawidziła swojej starej matki, całe życie usługującej i ustępującej profesorowi, rozjeżdżającemu się z kochankami na konferencje, w wolnych chwilach tresującemu Utę, nigdy nie zadowolonemu z jej osiągnięć. Uta trwała w stanie nieustającej rebelii wobec matki. Nigdy nie będzie taką jak ona. Matka to ciepłe kluchy. Po śmierci ojca złorzeczy tylko na świat. Wiecznie chora, rozgrymaszona, nie bierze odpowiedzialności za własne życie, stęka, jęczy, niech sobie sama mieszka, niech sobie zdechnie, jeśli sama tego chce.

Uta świetnie umiała gotować. Rainer miał zresztą dosyć życia w przepelnionym, obskurnym akademiku. Już przed pójściem na studia trzy lata spędził w koszarach: Jako czternastoletni chłopiec zadeklarował się na oficera, potem się co prawda wycofał, ale czuł się zobowiązany odsłużyć przynajmniej te trzy lata. Potem ten nieprzytulny dom studenta... Rainer pragnął znowu mieszkać jak u mamy, najlepszej Hausfrau na świecie. Dzisiaj pokątnie twierdzi, że chyba nie zakochał się w Ucie naprawdę. Za to strasznie mu imponowała - wyzwolona, niekonwencjonalna, dzika. Córka profesora. Wiedźma. Tak myślał o niej. Tak ona myślała o sobie. Miała postrzępione rude włosy, nieco zadarty nos, nigdy nie pomalowane oczy, nosiła długie, szerokie, kolorowe spódnice. Czasem w domu zakładała też krótką ze sztruksu. Gdy sięgała po książkę na górne półki regału, Rainer wkładał jej rękę pod sztruks, a potem (po uprzednim wzięciu prysznicu) przeważnie się kochali. Rainerowi podobały się mądre, twórcze kobiety. Trochę się też ich bał...

Rainer lubił ciepły głos i rodzinny uśmiech Uty, zapach jej ziół i przypraw, poustawianych na drewnianych półkach w kuchni, smak jej wypieków domowych, jej

jabłecznik, może lepszy niż u Edeltraud. Jej misiowaty, nieporadny i niewdzięczny chód. "Mój niedźwiadek" - zwykł był mówić do niej. "Mój przytulański" - zwykła była mówić Uta, bo tak pieścił się i przytulał pod sufitem, długo, długo po północy. Miał aksamitną, pachnącą, nienagannie wyszorowaną, najprzytulniejszą na świecie skórę. Zapuścił sobie długie, piękne, kręcone włosy w kolorze ciemnokasztanowym, które do rozpaczy doprowadzały pocziwą Edeltraud. Na twarzy zostawiał sobie zwykle ponętny, kilkudniowy zarost. Przytulański. Słodki jak miód. Nocami szukał schronienia w ciepłe jej ciała, bo bał się byle czego, na przykład złodzieja, ustawiał pod drzwiami butelki, żeby go ostrzegły, gdy nadejdzie, krył się wśród jej piersi, w fałdach jej sukien, w szczelinach ud. Wtulał się w nią, wciskał, mościł sobie w niej poślanie - w pierwszych latach z lubością i namaszczeniem, a potem coraz bardziej niechętnie. Któregoś dnia przestał odpowiadać mu jej zapach. Któregoś dnia po raz pierwszy kochał się z nią tylko dlatego, by nie obrzuciła go wyrzutami i nie powtórzyła ich głośno przy gościach. Co to za facet, co nigdy nie chce, lub nie może...

Lubił jej książki o Indianach. Sam się zaczął nimi pasjonować. Fascynowały go lalki z gałganków, które Uta szyła sama. Pluszowe misie o nieporadnym spojrzeniu. Książki, które chciała napisać. Dzieci, które zamierzała urodzić. Nauczyła go odróżniać prawdziwą sztukę od kiczu, dyskutować o książkach, filmach, malowidłach. Nie mogła przewyższyć go jedynie, jeśli chodzi o fotografię. Zażądała więc, by bezustannie fotografował ją i dzieci, prowadził szczegółową dokumentację ich życia rodzinnego. I Rainer pstrykał bez opamiętania. Znał się też lepiej na rzeczonym komputerze. Znał się lepiej na przodkach i żmudnie rekonstruował wieczorami coraz bujniej porozgałęziane drzewa genealogiczne, które, drukowane na coraz większych płachtach papieru, powoli pochłaniały obskurne ściany ubikacji. Dochodził przy tym do coraz bardziej zaskakujących wniosków...

Nie pozwalała mu chodzić wieczorami do knajp narożnych na parówki i mielone, jeździć z kolegami do Saksońskiej Szwajcarii jak za dawnych lat, aby tam, z finką pod pachą, nocować w wyłomie skały, i rżnąć dowcip za dowcipem czuć się prawdziwym mężczyzną... Nie pozwalała mu oglądać się za kobietami, a przecież co Rainer za to mógł, że przyciągały go jak magnes ich talie, biusty i pośladki... Na przykład te Turczynki, co się pojawiły na ulicach... Tylko ich mężów Rainer by przepędził...

Rainer bał się strasznie krzyku Uty. Jej mądrzenia się, szastania żargonem współczesnej psychologii: "Funkcjonalizujesz mnie. Pewnie byłeś molestowany.

Rodzice cię nie kochali. Faworyzują twojego brata. Twoja matka jest zimna jak lód. Czy ty nie widzisz, że jesteś martwy? Ty nie żyjesz, ciebie w ogóle nie ma. Jesteś trupem. Na klar.” Kiedy Uta mówiła, że jest trupem, Rainer otwierał szeroko okno, kładł się na wysokim łóżku, zdejmował z siebie wszystko, przykrywał się czarnymi owcami, i zasypiał. A ona chciała jeszcze się z nim kochać. Chciała raz jeszcze przedyskutować całą problematykę związku i brzemienne w skutkach dzieciństwo, a potem jeszcze się kochać. Szarpała go, budziła: ”Nie wolno ci zasnąć, ty trupie. Wstawaj, dyskutuj. Dlaczego taki jesteś. Dlaczego nie chcesz ze mną spać? Bo ty mnie już nie kochasz...” A on, bezprawnie rozbudzony, myślał o martwych Indianach, których zwłoki rozwieszano na konarach drzew, i wyobrażał sobie, że jest jednym z nich... Że wiatr stepowy to bije, to głaszcze go po twarzy, że jego członki bezwładnie huśtają się na tymże wietrze...

Wymienił więc Reiner akademik na mieszkanie kobiety. Niewyremontowane i z podejrzanym balkonem, który w każdej chwili mógł spaść. Z kaflowym piecem. Z ubikacją w korytarzu. Chodziło ci tylko o mieszkanie. Nigdy mnie naprawdę nie kochałeś. Zgarnęła go więc z tych tańców. Była lekko zarumieniona, strzępy czerwonych włosów przyklejały jej się do gorącej, spoconej twarzy. ”Komm” - chuchnęła mu w twarz i Rainer, w nowych dżinsach z Intershopu, powędrował z nią na Prenzlauer Berg. ”Komm her” - wyszeptła i Rainer wdrapał się z nią do łóżka, miała pościel w czarne owieczki. ”Ty jesteś w rodzinie taką czarną owcą - wyszeptła. - Czuję to. Nikt cię jeszcze nigdy tak nie kochał, jak kochać cię będę ja.” ”Komm rein” - i Rainer wprowadził się w jej ciało, on, mały chłopiec z Elsterwerda, wcale tego nie godzien. *Komm* było Uty zaklęciem. Doprowadzało Rainera do obłędu. Musiał iść, kiedy ona wołała. Wciskał się w nią jak węgorz. Mościł sobie w niej postanie. Płakał w jej ramionach jak dziecko.

”Nie jestem twoją matką - mówiła. - Pamiętaj o tym. Cholera jasna, nie bądź dzieckiem, nie bądź moim trzecim dzieckiem, bądźże w końcu mężczyzną, obudź się, rozwijaj się, żyj.” Po trzynastu latach opuścił to mieszkanie, aby odejść do pulchniutkiej, ciemnowłosej Polki, sprzątającej w berlińskich biurach. ”Komm zurück” - zawyła Uta. Ale Rainer nie lubił już słów, nie lubił wielkiej kłapy. ”Odchodzę do Jagody - walnął jej prosto w twarz. - Kocham Jagodę. Chcę z nią żyć”. O, jakże słodką była zemsta Rainera. Uta stanęła w ogniu, Uta stała się świnią: ”Przeklinam twoją kochankę, przeklinam wasz bezprawny związek, przeklinam Wasze potomstwo, niech wasze dzieci szlag śmiertelny trafi, niech pozdychają wszystkie jak

psy!” - grzmiąca za nim, kiedy na łeb na szyję rzucił się ze schodów. A przekleństwo Uty sprawcą miało moc... Podczas gdy Uta bez opamiętania rodziła dalej, poumierły Jagodzie nie urodzone nigdy dzieci. Wydarto jej dzieci z brzucha. Rainer ich nie chciał. Nie walczył o nie. Jagoda strasznie się bała... ”Gdybyśmy mieli córeczkę - nieostrożnie napomknął kiedyś Rainer - dałbym jej na imię Elżbieta...”

Rainer spektakularnie zbiegał ze schodów. Uta z całej siły rzuciła jeszcze za nim wypchanego piaskiem, bezwładnego, uszytego przez się misia, którego kiedyś symbolicznie podarowała mu na urodziny, żeby pamiętał o statusie swej trupiej egzystencji. Beznamiętnej jak piasku worek. Miś bezgłośnie zsunął się po schodach. Rainer podniósł go i zabrał ze sobą. Szkoda mu było misia. Uta jeszcze długo przeklinała, ale Rainer już jej nie słuchał. Rainer na łeb na szyję rwał ze schodów na ulicę. Rainer teraz sam zaczął mówić. Teraz była kolej Rainera. Odetchnął pełną piersią. Wziął mieszkanie na Prenzlauer Berg i zgarnął do siebie Jagodę, która do tej pory pomieszkiwała z koleżankami, cichaczem pobierającymi w Polsce zasiłek dla bezrobotnych. Tej pokątnej wegetacji bez perspektyw Jagoda miała już dość. Dała się zaciągnąć do Rainera. Smakowały jej jego pełne, pulsujące życiem usta. Jego pyszne, aromatyczne zapiekanki. Rainerowi podobało się z początku, że Jagoda nic nie mówi. Ale jednak za czymś tęsknił. Tęsknił za tym ”komm”. A ona jęczała tylko ”misiu” i ”o Boże”, gdy się kochali, jak nigdy nie kochał się nikt...

Tęsknił za świecznikiem na stole. Za stałą obecnością dzieci. Za zapachem domowego jabłecznika. Za balkonem, który w każdej chwili mógł spaść. Rainer nauczył więc Jagodę tego *komm*. Nauczył ją *na klar*. I nauczył, oraz oduczył ją wielu innych rzeczy. Nauczył zdejmowania szpilek po przekroczeniu progu domu. Palenia tylko i wyłącznie na balkonie. Samodzielnego wynoszenia śmieci i dźwigania plecaka na grzbiecie. Odróżniania prawdziwej sztuki od kiczu. Pieczenia ciasteczek adwentowych. Prawidłowego czerpania miodu ze słoika. Kupowania drogich win. Nie zdołał jej co prawda wszczepić miłości do szczepu Dakota, ale oduczył nieprzytulnego oświetlania domu tysiącem wściekłych żyrandoli. Brudzenia czubkiem noża słoiczków od dżemu, wygrzebywania dołów w margarynie. Wkładania nie owiniętych folią kiełbas do lodówki.

A pewnego razu powiedział jej, że nie żyje, że jest trupem, że jej w ogóle nie ma.

